

## W Żelechicach

Był szabat. Nawet wiatr i śnieżycy odpoczywały od pracy. Wioska Żelechice, niewielkie skupisko drewnianych chałup i bud, kryła się przed wzrokiem na skraju sosnowego lasu – z oddali niewiele więcej niż jeszcze jedna zaspą, jakich pełno w całym kraju. Wewnątrz jednak, po obfitym sobotnim obiedzie, drzemali smacznie miejscowi Żydzi.

W całej wsi panowała cisza, ale nigdzie nie była tak głęboka jak w wielkim domu obok bożnicy z widokiem na gminne pastwisko i skutą lodem rzekę.

Mieszkał w nim rabin, reb Awrom Ber, który w odróżnieniu od większości swoich owieczek nie chrapał we śnie. U jego boku żona Rejzele oddychała tak lekko, że za każdym razem, gdy czternastoletnia Dwojrele zaglądała do sypialni rodziców, żeby sprawdzić, czy już się obudzili, dziewczyna obawiała się, czy matka jeszcze żyje.

Nadchodzący zmierzch wydłużał cienie w domu rabina, w którym było ciepło i przytulnie, lecz Dwojrele, siedząc z książką obok kafłowego pieca, czuła się samotna i tak nieszczęśliwa, że chciało się jej płakać. Tego dnia usłyszała przypadkiem, jak ojciec powiedział:

— Michl świetnie się zapowiada, chwała niech będzie Panu! Kiedyś zostanie wielkim talmudystą.

Michl był jej młodszym bratem, który zgodnie z wielowiekową tradycją prawowiernych Żydów spędzał całe dnie na nauce Talmudu.

— A ja, tatusiu, kim kiedyś zostanę? – niespodziewanie zapytała ojca, pół

żartem, pół serio, bo nigdy wcześniej, jak daleko sięgała pamięcią, nie usłyszała o sobie dobrego słowa.

Reb Awrom Ber aż się wzdrygnął. Przecież wszyscy pobożni Żydzi dobrze wiedzą, że kobieta może mieć tylko jeden cel w życiu: dbać o szczęście domowego ogniska, służyć mężowi i rodząc mu dzieci. Nie uważał więc nawet za stosowne odpowiedzieć na pytanie i dopiero pod naciskiem córki wypalił:

— Kim ty kiedyś zostaniesz? Oczywiście, że nikim!

Ta odpowiedź bynajmniej nie zadowoliła Dwojrele. Faktycznie, dziewczęta na ogół wychodziły za mąż, żeby tyrać jak woły robocze, ale były przecież wyjątki, jak jej matka Rejzele, która miała znakomite wykształcenie – była praw-dziwą damą – i nie ustępowała rozumem żadnemu mężczyźnie.

Reb Awrom Ber, rzecz jasna, w głębi serca nie był zadowolony z edukacji żony: widział coś niestosownego w tym, że kobieta wie zbyt wiele. W żadnym razie nie chciał więc, żeby ten błąd powtórzył się w przypadku Dwojrele. W domu był egzemplarz Samouczka języka rosyjskiego Najmonowicza, który córka miała w zwyczaju wertować w każdej wolnej chwili: za każdym razem, kiedy przyłapał ją na tym niecnym uczynku, kładł książkę na szczycie pieca kafłowego i Dwojrele musiała ryzykować życiem, żeby ją odzyskać. Najpierw przysuwała do pieca stół, ustawiała na nim krzesło, wspinała się na nie i po tych wszystkich wysiłkach z pieca zaczynały spadać tumany kurzu, stronicie podartych książek, stare miotełki i Bóg jeden wie, co jeszcze – w zasadzie wszystko z wyjątkiem rosyjskiej gramatyki. Niemniej jednak przez czternaście lat życia Dwojrele zdołała nauczyć się całej książki na pamięć – i wciąż nie była zadowolona. Jak monotennie poranki zmieniały się w popołudnia, a wieczory przechodziły w noc! Jak nudne były zajęcia domowe, choć poza nimi nie miała przecież niemal nic ciekawego do roboty. Zawsze jej czegoś brakowało, ale nie wiedziała czego właściwie. Budziły się w niej jakieś dziwne tęsknoty, jakieś niemal fizyczne, dojmujące

doznania, które nigdy nie były tak bolesne jak w to zimowe, szabasowe popołudnie, kiedy w całym domu zalegała cisza, a świat za oknem był schowany pod śniegiem.

Próbowała znaleźć ulgę we wspomnieniach. Przypomniała sobie, jak wiele lat temu, już po zachodzie słońca, jej rodzina przybyła do Żelechic. Pobożni brodaci Żydzi w długich chałatach, w czarnych butach z cholewami i kołpakach –

w stroju, który przetrwał od średniowiecza – wyszli im naprzeciw z zapalonymi świecami w dłoniach, wołając jednym głosem na powitanie nowego rabina:

— Błogosławione twoje przybycie!

Jak wspaniale prezentował się wtedy reb Awrom Ber w czarnych butach z klamerką, białych pończochach, atlasowej kapocie i czarnym sztrajmlu.

Wspominając to wszystko, zobaczyła znów ten uśmiech – wdzięczny, półdziękiący – który pojawił się na okolonej dość długą, jasną brodą twarzy reb Awroma Bera, i gorące łzy zaczęły powoli kapać po jej zaczerwienionych policzkach – próżne łzy, których sensu nie potrafiła zrozumieć.

Gdy do salonu wpadł Michl i zobaczył płaczącą siostrę z psalterzem w dłoni, roześmiał się tak donośnie, że obudził rodziców w sypialni obok. Michl i Dwojrele nigdy nie przepadali za sobą. Chłopak skorzystał więc z okazji, żeby naśmiewać się z siostry: jest taka głupia, że przesiaduje w domu i ślęczy ze łzami w oczach nad psalmami niczym jakiś nędzny, stary grzesznik, który ostatnie nudne dni żywota spędza na pokucie. On sam tymczasem wrócił ze ślizgawki na zamrożonej niczym stalowa blacha rzece, która prowadzi przez zaśnieżone pola aż po horyzont pod błękitnym, przejrzystym, szabasowym niebem wypełnionym cudowną ciszą. Po tej eskapadzie policzki Michla zarumieniły się, uszy go piekły od mrozu, a w oczach błyskały wielobarwne ogniki: to czarne, to brązowe, to miedziane. Wrócił do domu pełen wigoru, więc siostra, która nigdy nie wychodziła na dwór i potulnie zносиła marazm domowego ogniska, wydawała mu się jeszcze bardziej żałosna niż zwykle.

Stracił jednak rezon, gdy tylko do pokoju wszedł ojciec.

– Jak ci idzie nauka, Michl? – zapytał go reb Awrom Ber, poziewując.

– Dobrze, ojcze.

Dwojrele rozdziawiła usta. Usiłowała zajrzeć Michlowi w oczy, ale ten wpatrywał się bardzo pilnie w jakieś religijne pisma i na jego zamyślonej twarzy nie było teraz widać niczego, co zdradziłoby kłamstwo. Dobry Boże, co za oszust!

Co gorsza, uważał się za bardzo sprytnego i śmiał z niej szydzić. Była już zdecydowana, żeby go wydać. Reb Awrom Ber poprosił ją jednak o szklanekę gorącej herbaty – wyglądało na to, że zapomniał już całkiem o Michlu.

Poza tym, jej własne sumienie też nie było przecież czyste! Wymiana jednej z religijnych ksiąg ojca na powieść z pewnością była jeszcze cięższym grzechem niż wycieczka na ślizgawkę w szabat. Gdyby ojciec się o tym dowiedział, to wołała nawet nie myśleć, co mógłby zrobić... dobry Boże, jakież to

okropny uczynek oddać handlarzowi świętą książkę w zamian za literaturę! Pełna wyrzutów sumienia ugryzła się więc w język; kiedy nalewała ojcu herbatę, przyszło jej do głowy, że gdyby urodziła się chłopcem, to nie byłaby zmuszona do takich występków, bo cały swój czas spędzałaby na studiowaniu Talmudu.

Przypadł jej jednak w udziale ponury los: nawet gdy zbaczała z dobrej drogi, to życie wciąż pozostawało przeraźliwie nudne. Co do domokrażcy, to pojawiał się we wsi tylko raz na cztery tygodnie, w dzień targowy.

W ten jeden jedyny dzień wioska była wytrącona z jednostajnej ciszy. Kiedy Dwojrele przecierała rano oczy przy akompaniamencie dudnienia chłopskich furmanek i obcych głosów, przeszywał ją dreszcz, tak jakby poprzedniego wieczoru zasnęła w jakiejś samotnej chatce w głuszy, a teraz obudziła się w zupełnie nowym, kipiącym życiem otoczeniu. W ten dzień Żelechice zmieniały się bowiem nie do poznania. Nastawał kres panowania wyleniałych kóz, które w inne dni paradowały po wsi, jakby były właścicielkami swoich pastwisk. Wszystko było odmienione. Wydawało się, że nawet krzywe chałupy stają na baczność.

Wędrawni handlarze nie wychodzili z domów przed świtem, przy świetle świec, żeby obchodzić okoliczne gospodarstwa. Mężczyźni nie marnowali czasu w ciepłej bożnicy na fantastyczne opowieści o zdarzeniach w nieznanach zaświatach. Kobiety nie miały nawet odrobiny czasu na plotki. Na połaci śniegu otaczającej Żelechice po las i aż po horyzont pojawiały się niezliczone ślady butów i koleiny kół. Chłopi na furmankach i pieszo zmierzali tłumnie do wioski, poganiając przed sobą bydło albo ciągnąc za sobą odporne świnie; w odświętnych strojach towarzyszyły im żony. Z kolei kupcy z okolicznych wsi konkurowali ze sobą na towary, czyli wszystko od koronkowych welonów po buty z cholewami, od rzeźbionych krzyży po baranie kozuchy, od słodyczy po medykamenty. Byli też Cyganie, kuglarze, pijacy, nieroby i włóczędzy. A na koniec pojawiał się domokrażca, którego Dwojrele wypatrywała z największą niecierpliwością, by w końcu gorzko się rozczarować. Okazywało się bowiem za każdym razem, że nie ma nic naprawdę ciekawego. Przywoził ze sobą głównie dewocjonalia: modlitewniki, tałesy, cycesy i wybór ksiąg religijnych. W tym świątobliwym bagażu

książka doczesna mogła się zaplatać tylko przypadkiem. W rezultacie, czekając na jego kolejną wizytę, Dwojrele była zmuszona czytać po wielokroć Dziejeżaczarowanej księżniczki oraz Opowieść o trzech braciach, by na koniec wrócić do pomarszczonych stron psalterza!

Ściemniało się już, kiedy do reszty rodziny dołączyła Rejzele. Ledwie wyszła z łóżka, zaraz zajęła miejsce na kanapie pod oknem, gdzie spędzała większość dnia na lekturze dzieł filozoficznych i religijnych. Z wyjątkiem Dwojrele każdy czytał w skupieniu swoją książkę, bezwiednie popijając herbatę. Chociaż wydawało się, że nie są świadomi obecności innych, to wszyscy emanowali wzajemną niechęcią. Michl miał za złe rodzicom, że musi siedzieć w domu pod ich okiem, więc wymyślał się niepostrzeżenie, gdy tylko mógł. Dwojrele uważała, że wszyscy ją lekceważą. Mąż i żona mieli do siebie pretensje od dawien dawna.

Rejzele była przyzwyczajona do innego trybu życia niż ten, który wiodła od dziesięciu lat w Żelechicach. Wychowała się w dostatku, w sensie zarówno materialnym, jak i duchowym. Jej ojciec był jednym z najslawniejszych rabinów w Polsce i być może najbardziej uczonym Żydem swoich czasów. Już sama jego obecność wzbudzała powszechny respekt, nawet wśród ludzi prostych, żyjących z pracy własnych rąk, którzy z reguły odczuwają jedynie mieszkankę pogardy i nienawiści wobec nierobów „wycierających gacie” przy lekturze Talmudu. Był

bardzo wysoki, miał twarz pociągłą o ciemnej karnacji, imponującą czarną, aksamitną brodę, wielkie czarne oczy skrzące się humorem, nieustannie jednak dławionym przez surowe poczucie obowiązku w obliczu Szechiny. Mówił rzadko, poświęcając cały czas od rana do wieczora na studiowanie w kręgu uczonych, a właściwie uczniów, niektórych już w średnim wieku, podczas gdy po domu krążyli jego liczni synowie, córki i wnuki. Pobożni Żydzi zwyczajowo wydawali za mąż córki i żenili synów mniej więcej w wieku piętnastu lat, a potem utrzymywali ich tak długo, aż małżonkowie osiągnęli samodzielność.

Także Rejzele, ukochana córka rabina, została poślubiona w piętnastym roku życia. Na męża wybrano jej, z powodu uczoności i nimbu sławy wokół

nazwiska, młodzieńca ledwie o rok starszego, reb Awroma Bera. Wśród

przodków miał bowiem „wielkich Izraela”, znanych w każdym żydowskim domu na świecie; nawet więcej, miał być potomkiem samego króla Dawida. Wydawało się zatem, że jest to obiecujący mariaż. Reb Awrom Ber okazał się jednak porażką. Owszem, niewielu było tak uczonych jak on, ale zupełnie nie umiał

twardo stąpać po ziemi – trzeba go było prowadzić za rękę jak dziecko. Poza światem Talmudu był zwykłym niedorajdą.

Choć kontynuował studia w domu teścia, aż został ojcem dwojga dzieci, to nadal nie przejmował się przyszłością. W końcu więc zdecydowano, że reb Awrom Ber musi się usamodzielnic. Tak niezaradny młodzieniec mógł zostać jedynie rabinem, lecz aby objąć tę posadę w dowolnej znaczącej miejscowości, musiał zdać wymagany przez ówczesne prawo egzamin z języka rosyjskiego i innych przedmiotów świeckich, gdyż na rabinie ciążył również obowiązek prowadzenia rejestru urodzeń, ślubów i zgonów.

Po wielkich namowach udało się go w końcu oderwać od Talmudu i skłonić do podróży do Płocka, gdzie zatrzymał się u korepetytora, który specjalizował się w przygotowywaniu przyszłych rabinów do egzaminu państwowego. Z bezmyślną skwapliwością wypłacił mu z góry całe wynagrodzenie, z bezmyślną niechęcią zabrał się do nauki nowych przedmiotów. Być może i tak wszystko skończyłoby się dobrze, gdyby u korepetytora nie pojawił się przypadkiem inny przyszły rabin

– przystojny młodzieniec o ślicznych, błyszczących oczach, z fantastycznie spiczastą, aksamitną bródką i cyniczną miną. Młodzieniec ów wkrótce zaprzyjaźnił się z żoną nauczyciela i poinformował reb Awroma Bera również o tym, że kobieta nie nosi peruki, choć nakazuje to żydowskie prawo – mężatom nie wolno bowiem odsłaniać włosów, żeby ich urok nie wzbudzał grzesznych myśli. Reb Awrom Ber stracił już wówczas serce do tego przedsięwzięcia. W

żaden sposób nie mógł się skupić na nowej, dziwacznej edukacji. Nie podobały mu się też ciągle wyrzuty korepetytora, że nie stosuje się do jego rad. Miał

serdecznie dość całego niesympatycznego otoczenia, a gdy otwarto mu oczy i zobaczył, że żona korepetytora nie nosi przepisanej prawem peruki, była to przysłowiowa kropla przelewająca czarę goryczy.

Jeden jedyny raz w swoim życiu zachował się jak człowiek czynu – uciekł.

Ponieważ nie miał odwagi, żeby wrócić do domu teścia, postanowił wyruszyć w

„szeroki świat”. „Szerokim światem” była najbliższa wioska pod Płockiem. Jej żydowscy mieszkańcy, gdy napotkali przybysza, ściskali mu dłoń na powitanie i mówili Szolem alejchem! ; potem pytali go, kim jest, po co przybył, skąd przyjechał i dokąd się wybiera. Zadawali jeszcze wiele innych pytań, jak to jest w zwyczaju.

Reb Awrom Ber odpowiadał jednak oszczędnie. Ubłagał tylko szamesa, żeby ogłosił, iż do wioski przybył kaznodzieja, który wygłosi kazanie zaraz po wieczornym nabożeństwie.

Reb Awrom Ber był obeznany w przypowieściach, więc jego chaotyczne kazanie, oparte na głębokiej znajomości Tory, było pełne fascynujących historii, które oczarowały słuchaczy.

– Jego słowa brzmią słodko niczym wino! – mówiły kobiety, zapewne nie bez związku z urodą kaznodziei.

– Wielki uczony! – cmokali mężczyźni.

Tym sposobem reb Awrom Ber wędrował od wioski do wioski, aż wreszcie trafił do Żelechic, gdzie od jakiegoś czasu nie było rabina. Ponieważ w oczach miejscowych Żydów uczony młodzieniec znalazł wielkie uznanie, lokalna gmina złożona z trzystu dusz postanowiła położyć kres jego tułaczce. Po kilku ożywionych zebraniach, podczas których wszyscy próbowali mówić równocześnie, reb Awrom Ber został wybrany na rabina Żelechic.

Rejzele nigdy jednak nie wybaczyła mu owej eskapady, a w to zimowe szabasowe popołudnie wszystkie wspomnienia powróciły jak żywe. Znajdowali się w finansowych tarapatkach, bo pensja wypłacana rabinowi przez gminę w żadnym razie nie wystarczała na codzienne potrzeby. Pod naciskiem okoliczności reb Awrom Ber miał wieczorem prosić o podwyżkę.

Wcześniej w tygodniu zapytał żonę, jak ma się do tego zabrać – była jego konsultantką we wszystkich sprawach świeckich. Rejzele leżała na kanapie, słabowita i cierpiąca, rozważając w myślach przedstawione problemy i udzielając mu porad:

– Cokolwiek robisz, nie przepraszaj – powiedziała głosem tak cichym, że podkreślał jeszcze jej słabość.

– W żadnym razie, będę bardzo stanowczy – odparł reb Awrom Ber.

Na wąskich wargach Rejzele wykwitł wówczas uśmieszek. Nie mogła powstrzymać myśli, że jej mąż, człowiek o tak błękitnych i łagodnych oczach, z tak sympatycznym uśmiechem na twarzy, wyglądał dość komicznie, obiecując stanowczość.

Reb Awrom Ber, zazwyczaj nieuważny i niewrażliwy na otoczenie, nauczył

się jednak odczytywać ten przelotny uśmieszek jako gorzki wyrzut za własne błędy z przeszłości, więc gdy tylko go dostrzegał, zaczynał się gorączkowo bronić, tak jakby myśli żony zostały wypowiedziane na głos. A kiedy Rejzele nie reagowała na jego słowa, ten chwilowy wybuch gniewu, skierowany przeciw niej, za każdym razem przenosił na teścia. Winił go za to, że zachęcił córkę do nauki, że dostarczał jej lektur (prawowiernych, rzecz jasna, choć z czasem szeptano, że czytała co popadnie!) i że w ogóle traktował ją – przecież tylko kobietę – jako partnera do rozmowy.

W ten sposób cała „scena” nieodmiennie dobiegała końca i spokój domowy powracał. Teraz jednak, w to zimowe szabasowe popołudnie, gdy rozmowa o sprawach świeckich była wykluczona, mąż i żona nadal prowadzili dawny spór, choć nie padło między nimi żadne słowo. Reb Awrom Ber poczuł więc ulgę, że nadeszła pora, gdy mógł już założyć palto i udać się na wieczorne nabożeństwo do bożnicy, oddalonej ledwie o parę kroków.

Stłumione dźwięki modlitwy docierały do domu rabina. Dwojrele wyteżyła słuch. Okiem wyobraźni ujrzała w świetle świec znajome brodate twarze i zastanawiała się, co starszyzna gminy odpowie na prośbę ojca. Spodziewała się, że ojciec nie wróci szybko. Ale reb Awrom Ber pojawił się zaraz po nabożeństwie.

Wyglądał na zatroskanego i przyniósł złe wieści.

Jedno z dzieci, które od jakiegoś czasu niedomagało, niespodziewanie rozchorowało się jeszcze bardziej. Jego ojciec Mendel, zwany Dużym Mendlem, który należał do najbogatszych w tej maleńkiej gminie, wybierał się niezwłocznie

do miasteczka R. Chciał prosić miejscowego cadyka, żeby ten pomodlił się o wyzdrowienie dziecka. Inny mieszkaniec wioski, którego ciężarną żonę prześladowały koszmarnie przecucia, miał mu towarzyszyć: chciał ubłagać cadyka, żeby wypędził złe duchy wywołujące te wizje. Reb Awrom Ber postanowił

z nimi pojechać. W oczekiwaniu na bardziej sprzyjający moment był więc zmuszony odłożyć prośbę o podwyżkę na później.

Rejzele była niezadowolona. Tak jak jej ojciec, nie wierzyła w cadyków, zawodowych „sprawiedliwych mężów”, których świętość miała zapewniać im bliższe niż zwykłym śmiertelnikom relacje z Bogiem. Często usiłowała więc oświecić męża, na swój sposób kpiąc delikatnie z idei profesjonalnej świętości i piętnując obłudę, jaka kryła się w możliwości uzdrawiania i krzywdzenia przy pomocy taemnych mocy – w zamian za doczesną władzę i bogactwo. Cadykowie żyli w przepychu na swoich dworach, niczym królowie, i tworzyli wielkie dynastie: synowie dziedziczyli ducha świętości po ojcach.

Reb Awrom Ber nie dał się jednak zniechęcić do własnych przekonań. Był

żarliwym zwolennikiem cadyków i w ogóle chasydyzmu. Nigdy nie wątpił, że są sprawiedliwymi mężami, i bardzo podobała mu się wiara chasydów, że życie jest najcenniejszym z Bożych darów, więc grzechem byłoby się nim nie cieszyć.

Uwielbiał służyć Panu przez okazywanie radości i chętnie odwiedzał dwory cadyków, gdzie mógł spotkać chasydów ze wszystkich stron kraju i z wszelkich kręgów społecznych; gdzie wtapiał się w tłum pielgrzymów; gdzie w atmosferze mistycznego wesela mógł tańczyć i śpiewać z innymi; gdzie słuchał nowych, niesamowitych opowieści i podchwytывał nowe, przejmujące pieśni; gdzie czerpał świeżą inspirację, aby jeszcze sumienniej oddawać się studiowaniu Talmudu i Kabały. Reb Awrom Ber, ciesząc się na wyjazd, zakładał teraz najcieplejszą szubę i starannie utykał brodę w jej poły. Gdy wóz Dużego Mendla zatrzymał się pod domem, zdążył już zapomnieć o finansowych kłopotach rodziny i danej żonie obietnicy, że będzie stanowczy.

Duży Mendel, zazwyczaj tak wesoły, był dziś blady i bardzo poważny, co zmroziło wszystkim serca. Reb Awrom Ber pospiesznie pożegnał się z rodziną.

Rejzele była rozgniewana, więc odpowiedziała mu, nie podnosząc nawet oczu znad książki.

Koła zachrzęściły w śniegu i reb Awrom Ber odjechał.